

Listy miłosne spod podłogi do żołnierza Wehrmachtu

WILLI, JESTEM
ZMĘCZONA
jak pies

Gerdę przepelnia piekacja zazdrość o kobiety, które mogłyby odebrać jej ukochanego, zwłaszcza sanitariuszki w szpitalu

Będzie to historia bez szczęśliwego reporterskiego zakończenia. Ale i takie bywają.

34 kartki pocztowe. 42 listy w języku niemieckim (pierwszy z września 1944 roku, ostatni ze stycznia 1945). Dwa zasuszone kwiatki, dwa odciski pełnych ust pomalowanych czerwoną szminką i kilka starannie pokolorowanych zieloną kredką czterolistnych konicynek. Niemiecka instrukcja obsługi karabinu Gewehr 43. Niemal pusty kieszonkowy notesik w linie (Taschenbuch). Zesztyt wypełniony notatkami ze szkolenia wojskowego i 13 szkiców ołówkiem zszytych w całość czarną nicią (w tym dwa akty i dwa rysunki pornograficzne).

Wszystko to trzymam w małym kartonowym pudełku, w którym przyniosłam kiedyś ze sklepu lokówkę do włosów niemieckiej produkcji.

LIST

„14.09.1944 r. *Mój kochany ponad wszystko Willi!* (...) Mam nadzieję, że te słowa przeczytasz w najlepszym zdrowiu – jest to moim największym życzeniem. Nam do tej pory pod względem zdrowotnym wiedzicie się dobrze, bo człowiek oddycha z ulgą, jak samoloty nie nadlatują, ale następnym razem będzie jeszcze gorzej. (...) Tak, mój skarbie, w odczynie znów wiele się zmieniło. Kto wie, jaką ją zastaniecie, gdy wróciacie. Mam to jedno życzenie, że gdy przyjdzie na nas pora, nie będziemy z Fredchen już żyć. Bo umieranie w mękach jest straszne. Kiedy będę wiedziała, że nadchodzi duży nalot, zakończę nasze życie jeszcze zawczasu. (...) Stokrotnie podzwonienia i uciowania, zegniam się z Tobą, mój skarbie. Twoja kochająca ponad wszystko i zawsze – żonka oraz Fredchen”.

SKARB

Jesień 2019 roku. Na festiwalu imienia Zygmunta Haupta w Goricach opowiadam o wydanej rok wcześniej biografii Krzysztofa Komedu. Spotkanie autorskie dobiega końca.

Ktoś z sali pyta: – Nad czym pani teraz pracuje?

– Chcę opowiedzieć o ludziach, którzy przeżyli drugą wojnę światową jako dzieci. Wciąż tropię tematy, szukam rozmówców – odpowiadam.

Po spotkaniu podchodzi do mnie kobieta, którą widziałam na widowni. Wyróżniała się z tłumu siwymi krótkimi włosami i artystyczną biżuterią. – Może miałabym dla pani historię do książki – mówi. – Jestem w posiadaniu paczki listów z czasów wojny.

– Ale ja się teraz zajmuję dziećmi – waham się.

– Są tam też listy od dziecka – uściśla.

Dzień później, z samego rana, jadę wynajętym autem do Kwiatonowic, wsi pod Goricami.

Magda Miller otwiera drzwi na taras i wyjaśnia, na co patrzmy: – Na pierwszym planie jest masyw Maślanej Góry nad Szymbarkiem, na horyzoncie Jaworzyna Krynicka. To w osi głównej. A po bokach – na wschodniej flance Lackowa, na zachodniej Gerlach

po słowackiej stronie. Ale widać go tylko przy bardzo ostrej widoczności.

Ruiny XIX-wiecznego dworu w Kwiatonowicach Magda Miller z mężem Kaspem Świerżowskim kupili w 2000 roku. Drewniany, częściowo murowany budynek w kształcie litery U do końca drugiej wojny światowej należał do rodziny Szanieckich. Po roku 1945 majątek rozparcelowano, a we dworze urządzono kolejno: dom wypoczynkowy, kurzą fermę, przedszkole, dwie szkoły, pomieszczenia biurowe spółdzielni produkcyjnej Kwiat i w końcu mieszkania.

Gospodarze wprowadzili się do opustoszałego dworu, zajęli najmniej zniszczoną część i rozpoczęli remont.

– Wtedy, w przestrzeni między podłogą strychu a powalą pokoju poniżej, znaleźliśmy to – Kasper Świerżowski kładzie na stole w salonie kopertę wypełnioną żółtkami dokumentami. – Nie potrafiliśmy ich przeczytać, choć znamy język niemiecki. Podała się też nasza koleżanka, szwajcarska pisarka, która ma spore doświadczenie w odczytywaniu niemieckojęzycznych rękopisów. Domyśliłyśmy się jedynie, że to listy miłosne niemieckiej żony do żołnierza Wehrmachtu, który stacjonował w czasie wojny w tym dworze. Naszym marzeniem jest, żeby korespondencja wróciła do rodziny. Może żyje wciąż chłopiec, który także wysłał kilka listów do swojego taty? To byłaby dla niego bezcenna pamiątka, o ile jeszcze żyje. Spróbowałaby pani go odnaleźć?

Zgadzam się natychmiast. Chciałabym, żeby w książce, nad którą właśnie pracuję, znalazł się reportaż o niemieckim dziecku wojny. Ciekawi mnie perspektywa syna lub córki żołnierza Wehrmachtu, SS lub pracownika cywilnego oddanego sprawie. Może jeśli pójdę tropem korespondencji, znajdę bohatera tekstu?

Opuszczam więc gościny, starannie odnowiony dwór w Kwiatonowicach, unosząc w torbie znalezione przedmioty. Psy gospodarzy machają ogonami na pożegnanie.

LIST

„9.10.1944 r. *Mój ukochany Willi!* (...) Pierwszy dzień mlócki za nami, przed nami dwa kolejne. Jestem wykonńczona, zmęczona jak pies, a z powodu silnego kurzu moje przeziębienie i kaszel znów się pojawiły. (...) Wyobraź sobie, mój ukochany, że mieliśmy do pomocy dziesięciu schwytych Rosjan, siedmiu z nich było ze mną w stodole. W środku było ciemno. Dawno się tak nie bałam jak dziś rano. Nie było nic widać, tylko te ich błyszczące oczy. To było straszne. (...) W myślach pozdrawiam cię i całuję. Twoja kochająca żonka i przyjaciółka”.

KURRENTA

Kobieta, któraśla listy do swojego ukochanego, miała na imię Gerda. Odczytanie imienia to na razie

jedyny sukces, jaki odnosiłam po kilku godzinach ślęczenia nad korespondencją z Kwiatonowic. Jej pismo jest całkowicie dla mnie nieczytelne. Pisała stałową, litery stawiała chude i ostre, pochylone w prawo. Odcyfrowuję pojedyncze wyrazy albo tylko ich części.

Nie jestem jednak w stanie odczytać nawet imienia i nazwiska jej ukochanego zapisanych na kopercie. Raz wydaje mi się, że nazywał się Willi Kauge, po chwili, że Billi Range. Wrzucam ich do wyszukiwarki internetowej i liczę na to, że znajdę jakiś trop, nitkę, za którą mogłabym pociągnąć. Co chwilę bije mi mocniej serce, bo znajduję niemieckie nekrologi zmarłych panów Kaugego i Rangego, ale żaden z nich nie miał na imię Billi ani Willi, więc natychmiast przychodzi rozczarowanie.

Odkładam listy od Gerdy i biore do ręki liniowane strony z zapisanymi ołówkiem dużymi zdaniami. Każda literka w listach od dziecka, które podpisuje się Fredchen, ma co najmniej centymetr wzrostu. To pismo kogoś, kto był w 1944 roku najwyżej drugoklasistą i niezbyt jeszcze pojmował zasady interpunkcji.

„Kochany tatusiu. (...) U mnie wszystko dobrze, tylko mamusia bardzo za tobą tęskni. Jestem zdrow i także tobie życzę żołnierskiego szczęścia”. „Dzisiaj chciałbym ci podziękować za twój uroczy list (...) wieczorem spadł prawdziwy śnieg. Wróć, kochany tato, chcę jeździć z tobą na sankach”. „(...) z okazji urodzin życzę ci z całego serca wszystkiego dobrego i przede wszystkim zdrowia i szybkiego powrotu do ojczyzny”.

Poza wzruszeniem także w tych listach nie znajduję żadnych wskazówek, które mogłyby mi pomóc odnaleźć krewnych Gerdy. Potrzebuję pomocy.

Wysyłam próbkę listu czołwiakowi, który zawodowo tłumaczy takie listy. Odpisuję szybko: „Wygląda to obiecująco. Pismo jest dość normalne jak na kurrentę”. Po pewnym czasie przysyła tłumaczenie i pisze: „Staralem się oddać chropowatość stylu”. Nagle pewne rzeczy stają się jasne. Adresatem korespondencji był Willi Range, jego żona Greta Range śla listy z Eisenach, miasta w Turynii. Mam więc trop.

Niestety, nie mogę podjąć dalszej współpracy z genialnym tłumaczem – nawet jeśli potraktuje mnie ulgowo, przetłumaczenie całej korespondencji będzie kosztowało około 7 tysięcy złotych (niektóre listy mają po kilkanaście stron). Nie mogę wydać takiej sumy, nie wiedząc, czy znajdę w listach cokolwiek, co pozwoli mi odnaleźć rodzinę Range.

Ale nie poddaję się.

A gdyby sama nauczyła się czytać kurrentę? Na stronie www.dawnepismo.com znajduję informację, że pismo neogotyckie, czyli Kurrentschrift, jest jednym z najtrudniejszych krajów dawnego pisma niemieckiego i było powszechne w wieku XIX i na początku XX. Jest tam też poradnik, jak pisać kurrentę. To prawdziwe wyzwanie – na przykład litera „i” podwojona i pozbawiona kropki jest literą „n”, a potrojona – „m”. Litera „k” przypomina „p” z kreską pośrodku, a litera „t” wygląda jak „P” bez wypukłości.

Nie dam rady. Przeczysz internet. Zwracam się do mieszkańców Eisenach na forach dotyczących ich miasta, do lokalnych gazet piszę listy z prośbą o pomoc w odnalezieniu rodziny Range. Ale nikt mi nie odpisuje.

LIST

„[brak daty] Będziesz zaskoczony, gdy znów zobaczysz swoją żonę, jak bardzo stała się szara. Ale tylko na zewnątrz, serce pozostaje młode. (...) Musiałbyś teraz zobaczyć, jak wyglądałam w ciągu dnia. Noszę szorty i parę butów po Kurcie. W koszuli i czapce praca mi idzie całkiem dobrze. (...) Jak słyszysz, mój drogi, znowu zajmujesz się malarstwem, czy mogłabym dostać od ciebie obraz? (...) Pozdrawiam cię również od Martina, brał udział w bitwie o Warszawę, teraz jest w pobliżu Frankfurtu nad Odrą”.

WILLI I GERDA

Ratunek przychodzi z Berlina. Magdalena Parys, moja przyjaciółka i pisarka, która od wielu lat mieszka w Niemczech, kontaktuje mnie z Berndem Liebigiem, informatykiem, który w latach 80. uciekł z Berlina wschodniego na zachodnią stronę miasta. Dziś męczyżyna jest na emeryturze i spędza całe dnie w archiwum Reichstagu, gdzie jako wolontariusz odczytuje i przepisuje do komputera przedwojenne, spisane kurrentą dokumenty. Bernd mi pomoże. Przepisze je do komputera, ale tłumaczeniem będę musiała się zająć sama. On nie zna polskiego i tylko trochę mówi po angielsku.

Skanuję więc kilkaset stron korespondencji i wysyłam mu pocztą elektroniczną. Jest już połowa listopada 2019 roku.

Następnego dnia Bernd Liebig przysyła mi pierwszy spisany list.

Miesiąc później do mojej skrzynki mailowej wpływa ostatni.

To musiało być dla niego bardzo pracowite 30 dni. Mój niemiecki wybaciciel pisze do mnie, że wciągnęła go historia Gerdy i Willego. Chciałby mi pomóc w poszukiwaniach. Czy się zgodzę? Odpisuję natychmiast, że oczywiście. I zabieram się do tłumaczenia korespondencji.

Gerda była szalenie płodną korespondentką, więc koszt zatrudnienia tłumacza języka niemieckiego znów przekracza moje możliwości. Sama mówię po niemiecku niewiele. Przepuszczam więc listy przez automatycznego tłumacza z internetu. Chwilami wychodzą rzeczy kuriozalne – automat myli przypadki, z Willego robi kobietę, a Gerda w jego wersji, jest tęskniącym za swą żołnierzką żoną. Powoli jednak wyłania się z nich obraz życia przeciętnej niemieckiej rodziny u schyłku drugiej wojny światowej.

Gerda jest starsza od swojego męża o pięć lat, poznali się w połowie 1941 roku. Fredchen to zdrobnienie od Manfreda – chłopiec jest jej synem z pierwszego małżeństwa. Nie radzi sobie najlepiej z wychowaniem syna, jej zdaniem jest rozbrzydany i nieposłuszny, brakuje mu ojcowskiej ręki. Jest córką gospodarza, surowego i nieprzejmonego człowieka, od którego nigdy nie usłyszała dobrego słowa. Pracuje u niego, ale mieszka na przedmieściach pobliskiego Eisenach, przy ulicy Weimarien 20. Gerdę przepelnia miłość do Willego. Większość korespondencji zajmują jej słowa tęsknoty i wspomnienia z czasów, gdy byli razem. Zapewnia go o swoich uczuciach, całuje uszminkowanymi ustami strony, rysuje naiwne i staranne obrazki. Przepelnia ją piekacja zazdrość o kobiety, które mogłyby odebrać jej ukochanego, zwłaszcza sanitariuszki w szpitalu. Gerda, podobnie jak wszyscy niemieccy cywile w tamtym czasie, cierpi z powodu niustannych nalotów alianckich nad Niemcami. Od bomb giną jej znajomi i sąsiedzi. Boi się śmierci, często o niej pisze. Chyba nie ma wielkiej nadziei na zwycięstwo Trzeciej Rzeszy. Nie zagrzewa ukochanego do boju, ale też nie krytykuje wojny. Na pewno wie, że listy do żołnierzy podlegają cenzurowaniu. Niemal nie podaje nazwisk, faktów, dat, rzadko wymienia nazwy miejscowości. Bardzo trudno ją uchwycić.

Z korespondencji wynika, że gefrajter (starszy szeregowy) Willi Range był ranny pod koniec września 1944, leżał w szpitalu połowym, szybko jednak wydobrzył i w październiku wrócił do swojej jednostki stacjonującej w Kwiatonowicach.



ESE BARBARANIEWADOMSKA

*Mój ukochany Willi!
Wyobraź sobie,
że mieliśmy do pomocy
dziesięciu schwytych
Rosjan,
siedmiu z nich
było ze mną w stodole.
Dawno się tak nie bałam*

Na stronie Miejskiej Biblioteki Publicznej w Goricach znajduje cykl rozmów przeprowadzonych ze świadkami lokalnej historii.

Józef Gryboś (rocznik 1929) z Kwiatonowic wspominał w 2014 roku: „Jaki to był dzień, to nie pamiętam, ale krowy pasłem. Byłem chłopakiem. Mówiono, że się Niemcy zbliżają. Naraz slychac – strzelają. (...) Mówimy z bratem, ale fajnie wojna wygląda, tak strzelają głośno. (...) W stu numerach były ich kwatery. Niemcy nie ewakuowali nikogo, tylko zajmowali jedną część, pokój”.

We wsi stacjonowały trzy niemieckie jednostki – warsztaty naprawcze czołgów i dział przeciwlotniczych (kilka miesięcy), wysokogórska dywizja pancerna (prawie rok) i przyfrontowa szkoła oficerska (ponad rok, pod koniec wojny).

Józef Gryboś: „Niemcy werbowali do niej kaprali, plutonowych, podchorążych i w tempie przyspieszonym szkolili na dowódców, bo im brakowało”.

Szkolny zeszyt, który przetrwał pod powalą kwiatonowickiego dworu razem z listami, nie należał do Willego Range. Na okładce, w ramce, gdzie należy wpisać imię i nazwisko ucznia, podpisał się „Unteroffizier Eugen Drescher”. Notatki pochodzą z kursu dowodzenia jednostką przeciwlotniczą. Pełne rysunków sporządzonych z pomocą cyrkiła, linijki i kątomierza, podkreśleń fachowych słów i terminów, świadczą o pilności kursanta. Być może Willi Range był uczniem przyfrontowej szkoły oficerskiej w Kwiatonowicach, a zeszyt otrzymał od kolegi, który przed nim został wysłany na front.

Armia Czerwona do Kwiatonowic wkroczyła w styczniu 1945 roku. Niemcy obserwowali z góry nadciągających Sowietów, mieli więc czas, żeby przygotować się do walki i ucieczki. Dlaczego gefrajter Range, zamiast schować do plecaka listy od żony, wszedł pewnego dnia na strych dworu i schował pod deską podłogi korespondencję od niej? Może dowiem się tego od jego krewnych, jeśli uda mi się ich odnaleźć?

LIST

„10.12.1944. (...) Chciałabym być z tobą, niestety, między nami jest wojna. Będzie to już trzecie Boże Narodzenie, które spędzimy osobno. (...) Chciałabym zapytać Boga, czy ma dla nas dobre intencje. (...) Kocham cię, a moja miłość zmusza mnie do znoszenia wszystkiego, nawet jeśli czasem jest to bardzo trudne. (...) Całe noce spędzam, myśląc tylko o tobie. (...) Przerzywam na chwilę, bo słyszysz alarm wstępnym. (...) Wczoraj mieliśmy cztery alarmy. Owijałam wtedy Fredchena kołdrą – ma gorączkę i kaszel – i znosiłam do piwnicy, a nad nami latały samoloty. (...) Kochanie, jeśli to ostatnie Boże Narodzenie, w którym będziemy żyć, kochaj nas nadal, gdy się to wszystko już skończy”.



KONIEC

Pisze do mnie Bernd Liebig z Berlina.

Na podstawie numeru poczty polowej ustalił, że Willi Range był żołnierzem 1086. pułku grenadierów, którzy na początku 1945 roku dostali się do sowieckiej niewoli w Czechach i na Morawach. Niewielu udało się wrócić do domu. Nie ma jednak nazwiska Range na liście Niemieckiego Czerwonego Krzyża, co może oznaczać, że Willi uniknął losu jeńca wojennego.

Bernd dzieli się też kolejnym odkryciem: „Według ewidencji ludności miasta Eisenach z roku 1943 przy ulicy Weimarien 27 mieszkała Gerda H., wdowa wojenna. To może być nazwisko po pierwszym mężu Gerdy Range. A więc Fredchen mógłby się nazywać Manfred H.! Żadne z nich nie występuje jednak w księgach ewidencyjnych Eisenach po wojnie. Znalazłem jednak Willego Range, ślusarza, zameldowanego w 1949 roku w Kassel, mieście oddalonym o sto kilometrów na zachód. To na pewno »nazw« Willi, bo pod tym samym adresem w 1960 roku mieszkał Manfred H., rolnik, syn Gerdy. Za dobrze wszystko pasuje, żeby to był przypadek. Daj znać, czy mógłbym ci jeszcze jakoś pomóc”.



W książce telefonicznej Kassel i okolic znajduję bez trudu telefon do Manfreda H., mieszka w nie-dużej miejscowości F. A więc syn Gerdy wciąż żyje.

Pytam Berndą, czy mógłby zadzwonić do niego w moim imieniu, żebym nie wystraszyła starszego pana łamaną niemiecką. Odpisuje natychmiast, że też znalazł jego numer i już nawet zadzwonił, ale nikt nie podniósł słuchawki. Będzie jednak jeszcze próbował.

Z emocji nie mogę zasnąć. Zamiat tego wyobrażam sobie moją rozmowę z Manfredem. Widzę w jego oczach łzy wdzięczności, drżenie rąk, gdy czyta odzyskane po tylu latach listy ukochanej matki. Pijemy sobie kawę w jego czystej kuchni, a on opowiada mi, jakie było jego życie w czasie wojny. Otwieram laptop i szukam w internecie najlepszych połączeń z Kassel, przeglądam oferty noclegów.

Rano znajduję kolejny list od Berndy Liebiga. Pisze: „Właśnie rozmawiałem z 83-letnią żoną Manfreda! Dała mi telefon i adres mailowy do swojej córki Ulrike, wnuczki Gerdy. Była bardzo zdziwiona, że po tylu latach odnalazły się te listy. Jestem bardzo podekscytowany! Najpierw do niej napiszę”.

Czekamy upiorny tydzień bez odpowiedzi z jej strony. Mój berliński współnik w końcu dzwoni do Ulriki („musiałem złapać się przy tym za serce”). Wyjaśnia jej, czemu dzwoni. Ona prosi, żebym do niej napisał list.



Jest koniec stycznia 2020 roku. Opisuję Ulrice niezwykłą historię listów jej babki i proszę o umożliwienie mi spotkania z jej ojcem.

Odpisuje: „W ciągu kilku najbliższych dni będę z nim rozmawiała. Powiem mu o twojej prośbie. Proszę tylko o cierpliwość. Ulrike”.

Na początku lutego przypominam jej o mojej prośbie.

Pisze: „Nie mam dla ciebie jeszcze żadnych wieści. Mój ojciec prosi o więcej czasu do namysłu”.

Odpowiedź przychodzi 5 lutego 2020 roku: „Droga Magdo, nie mam dla ciebie dobrych wieści. Mój ojciec podjął decyzję, że nie chce rozmawiać o swoim dzieciństwie, Gerdzie i Willim. Nie jest także zainteresowany odzyskaniem listów matki”.

Napisałam jeszcze jeden list do Ulrike. Po jakimś czasie zawiadomiła mnie, że ponownie rozmawiała z ojcem, ale on nie zmienił zdania.

Bernd Liebig był niepocieszony. Pisał do mnie: „Może Manfred nie chce pamiętać doświadczeń swojego dzieciństwa? Ja sam dokładnie wiedziałem, co mój ojciec robił na wojnie, ale nigdy z nim o tym nie rozmawiałem. Mój wujek utopił tamtą traumę w alkoholu. Może Manfred po wojnie już nigdy jej nie wspominał? Pamiętaj też o wieku Manfreda, nie znamy jego stanu fizycznego i psychicznego. Jest mi niezmiernie przykro, że tak się to skończyło. Pozdrawiam serdecznie, Bernd”.

W ostatnim liście do Ulrike poprosiłam ją o adres korespondencyjny. Chciałam, żeby listy Gerdy trafiły jednak w ręce jej rodziny. Przysłała mi go.

Ale wtedy wybuchła pandemia i czas się zatrzymał.

Przez rok pracowałam nad książką „Wojenka. O dzieciach, które dorosły bez ostrzeżenia” – ukazała się w maju 2021. Opisałam w niej losy dzieci wojny z różnych krajów świata. Historia listów Gerdy nie znalazła tam miejsca. Manfred, niemieckie dziecko wojny, nie chciał otworzyć przede mną drzwi do swojej przeszłości. Musiałam to uszanować. Ale nie chciałam, żeby moja przygoda popadła w zapomnienie, dlatego opisałam ją dla czytelników „Dużego Formatu”.

Wypełniony połówką korespondencją kartonik, w którym przyniosłam kiedyś ze sklepu lokówkę do włosów, wciąż leży na półce w moim mieszkaniu. Muszę w końcu wysłać go wnuczce Gerdy.

OSTATNI LIST

„8.01.1945 r. (...) Pamiętaj, kochanie, że w twoim kraju czeka na ciebie kobieta, która kocha cię całym sercem. Całuję cię w myślach szczególnie mocno. Twoja najdroższa żonka i Fredchen, którzy kochają cię ponad wszystko”. ●



Katarzyna Herman czyta reportaż Magdaleny Grzebałkowskiej w podcaście „Mistrzowie Słowa” dla Klubowiczek i Klubowiczów „Wyborczej”. Posłuchaj na wyborcza.pl/mistrzowieslowa

O państwie opiekuńczym, czyli rodacy, nie musimy się lubić

Orliński



Od przeszło 30 lat spotykam się z tezą: „Nie możemy mieć państwa opiekuńczego, bo mamy inną mentalność niż Skandynawowie”. Teraz ten temat wrócił w związku z socjologicznym badaniem Sadury i Sierakowskiego, o którym głośno w mediach (22 maja w „Gazecie Wyborczej” wywiad z autorami zrobiła moja znakomita koleżanka Adriana Rozwadowska).

Z raportu wynika, że Polacy nie lubią siebie nawzajem, nie zaakceptują więc programu politycznego, w którym jedni mają płacić podatki na drugich. Zaznaczą dla porządku, że to raczej tezy z interpretacji raportu niż z samego raportu, ale padające tam liczby mówią same za siebie.

Uważam państwo opiekuńcze za najdoskonalszy ustrój wynaleziony przez ludzkość. Kocham je bardziej niż Leszek Balcerowicz kocha kapitalizm.

W związku z tą miłością przeczytałem wiele książek na temat jego wprowadzania i funkcjonowania w różnych krajach. Na tej podstawie pokuszę się więc o pewną tezę ogólną.

Nigdy nie było tak, że mieszkańcy jakiegoś kraju powiedzieli: „Słuchajcie, ten model doskonale pasuje do naszej mentalności, wprowadźmy go”. Wszędzie przed jego wprowadzeniem dałoby się uzasadnić tezę, że ten model absolutnie nie pasuje do narodowego charakteru Szwedów, Finów, Japończyków, Anglików, Niemców itd.

Polscy publicyści często mówią, że może to i dobry model, ale na razie nas nie stać, najpierw musimy zbudować dobrobyt. Otóż w żadnym kraju nie było takiego momentu, że ktoś powiedział: „OK, już zbudowaliśmy dobrobyt, możemy teraz go dzielić”.

Budowę państwa opiekuńczego zazwyczaj zaczynało w krajach zrujnowanych przez wojnę i kryzys. I właśnie ta budowa dawała tym krajom impuls do rozkwitu (dzieje USA, Wielkiej Brytanii, Skandynawii czy Japonii nie potwierdzają tezy, że wysokie podatki i tzw. rozdawnictwo hamują rozwój gospodarczy).

Wbrew publicystom interpretującym raport Sadury i Sierakowskiego wzajemna sympatia i zaufanie mieszkańców kraju do siebie nawzajem nie jest koniecznym warunkiem. Finlandia zaczęła swoje państwo opiekuńcze w 1938 od „pakietu wsparcia macierzyństwa” polegającego na tym, że każda kobieta za samo tylko urodzenie dziecka dostawała wszechstronne wsparcie od państwa.

Jednym z jego elementów jest słynny „baby box” – zestaw artykułów pierwszej potrzeby dla młodej matki, typu śpioszki, pieluszki, podpaski, grzechotka itd., wręczane w pudełku, które może służyć jako łóżeczko. Fińskie matki dostają ten pakiet do dziś, choć co roku trochę zmienia się jego projekt i zawartość (typowy Fin wie, czy jest z rocznika pudełek pomalowanych w słoniki, czy w reniferki – spytajcie ich!).

Finlandia swoją niepodległość zaczęła w 1918 od wojny domowej, która przyniosła 40 tysięcy ofiar. W przeliczeniu na populację to jakby w Polsce zginęło pół miliona.

Najwięcej zginęło w obozach, w których „biali” więzili pokonanych „czerwonych”. Ostatnich zamknięto w 1940 roku.

Finowie nie zaczęli budować państwa socjalnego dlatego, że się kochali – tylko po to, żeby się przestać nienawidzić. W obliczu zbliżającej się wojny światowej kraj potrzebował jedności.

Przywódcą „białych” baron Man-nerheim wiedział, że „czerwoni” (którzy w 1920 zrobili na niego nieudany zamach) nigdy go nie polubią. Do dzisiaj lewicowa młodzież atakuje jego pomniki.

Wiedział też jednak, że hasło wsparcia macierzyństwa jednocy ponad podziałami. A że był de facto dyktatorem, przełamał opór swojego obozu politycznego, w którym nie wszyscy byli zachwyceni takim „rozdawnictwem”.

Szwedzi z kolei swoje państwo opiekuńcze zaczęli tworzyć w 1932. Rząd zaczął od budowy 12 tysięcy mieszkań dla rodzin wielodzietnych, tzw. barnrikehusen.

Dziś mieszkanie w nich jest modne wśród bohemy, bo do ich projektowania zaproszono najwybitniejszych architektów. Kto chce obejrzeć przykładowe realizacje, a będzie akurat w Sztokholmie, proponuję przejeżdżkę czerwoną linią metra do stacji Telefonplan.

Zobaczmy też pierwszą siedzibę koncernu Ericsson. Ten spacer to uczta dla miłośników funkcjonalizmu w architekturze!

Szwedzi nie budowali tych mieszkań, bo byli tacy bogaci, tylko dlatego, że byli tacy biedni. Jeszcze w 1939 roku połowa mieszkań w Szwecji miała jedną izbę. Bieżąca woda była rzadkim luksusem.

Szwedzi nie mieli w XX wieku wojny domowej, ale krwawy przebieg strajku w Adalen w 1931 pokazał, że to realne zagrożenie. Klasy wyższe zgodziły się na płacenie wyższych podatków ze strachu przed narastającą rewoltą klas niższych.

Gdyby Szwedzi czekali na moment, w którym elity powiedzą: „Jest już nam tak dobrze, że zgodzimy się podzielić bogactwem”, czekali by do dzisiaj. Takiego momentu nigdy nie było w żadnym kraju.

Po drugiej wojnie światowej państwo opiekuńcze stało się standardową formą ustrojową rozwiniętych państw kapitalistycznych. Nawet ówczesna Ameryka była krajem silnych związków, podatków sięgających 92 procent i budowania przez państwo milionów tanich mieszkań.

W jednych krajach wprowadzono to demokratycznie, w innych mniej lub bardziej autorytarnie (Finlandia, Korea Południowa), a w jeszcze innych była to reforma narzucona przez okupanta (Japonia). Czasem impulsem była euforia po wygranej wojnie (Wielka Brytania), czasem szok po przegranej (RFN), po utracie kolonii (Francja) czy po wielkim kryzysie gospodarczym (USA).

Na każdy argument typu „w Polsce się nie da, bo mamy problemy” znajdziemy kraj, który miał te same problemy, ale jeszcze większe. A jednak dał radę.

Lista krajów, w których udało się zbudować państwo opiekuńcze i je utrzymać przez kilkadziesiąt lat, jest bogata i zróżnicowana. Obejmuje niektóre państwa azjatyckie, a nawet (z różnymi zastrzeżeniami) latynoamerykańskie.

To pokazuje, że nie potrzeba do tego jakiejś specjalnej mentalności. Odwrotnie: mentalność sama przychodzi. Po kilku latach obywatela nabierają zaufania do państwa i do siebie nawzajem, nawet jeśli przedtem do siebie strzelali.

Kiedys po prostu trzeba zacząć.

Wojciech Orliński